

# ŚMIESZEK

## DODATEK HUMORYSTYCZNY

Wychodzi kiedy chce i kiedy mu się podoba.

Dla czytelników naszych darmo a dla innych podwójna cena.

Nr. 2.

Dnia 12 stycznia

1930

### Jak się Franek oświadczył.

HUMORESKA.

Franek był synem gospodarskim. Od samego urodzenia prześladowało go osobliwe nieszczęście. Urodził się bowiem 29 lutego 1896 r.; więc gdy miał co rok stawał się sarszym, on tylko co cztery lata — w roku przestępnym — mógł obchodzić swoje urodziny. Ale, że książę proboszcz zawsze mawiał: „Każdy koń ma też swoje urodziny — geburstag — katolik obchodził tylko swoje imieniny!” — więc i Franek zaniedbał niemieckiego zwyczaju i zaczął święcić imieniny — na świętego Franciszka. Wten dzień czuł wtedy dokumentnie, że się o rok podstarzał.

Jako chłopiec odznaczał się szczególną nieśmiałością, krył się bezustannie we faldach sukni swojej matki i trzymał się jej fartuszka, a zapytany, nie śmiał ani gęby otworzyć. Gdy gość jaki przychodził na odwiedzinę do ojca, uciekał do stodoły i prędzej nie wrócił, aż gość nie wyszedł.

Przytem był ogromnie niezgrabny, co chwila jakąś proste matce albo komu innemu wyrządzał, dla tego — „trzepaczka” często musiała być w robocie.

Nieśmiałość jego z latami zamiast się zmniejszać, coraz bardziej wzrastała. Bał się bezustannie, sam nie wiedząc czego, nawet cienia swojego. Rówieśnicy jego nie nazywali go inaczej, jak „dudek” albo „miękkie jaję” — z którym trzeba się ostrożnie obchodzić, żeby go nie siłuc, gdyż ledwie się go ruszyło już ci hecał jak na boru.

Cała rodzina wstydziała się go; najwięcej wstydział się on sam, chociaż nie miał czego, bo był chłopakiem bardzo porządnym i cnotliwym. Policzek jego były bezustannie czerwoniście — ze wstydu.

Okropnie było mu na sercu, gdy go matka posłała do sąsiedniego domu po jakiś sprawunek, albo z jakimś zapytaniem. Zazwyczaj zapominał o tem, co miał sprawić. Często przy drzwiach obcego domu zalekniony obracał się i dawał drapakę do domu. Gdy zaś przypadkiem drzwi otworzono i pytano go się, po co przyszedł, nie umiał powiedzieć ani ba ani me.

Tak rósł w domu ojca aż do 24-go roku. Na szczęście jego do wojska go nie wzięto, choć był chłopakiem tegim, lecz niezgrabnym, bo pewnieby mu serce przy pierwszym strzale armatnim ze strachu w płuły wpadło. Zresztą był bardzo pilny w robocie i ojciec go bardzo chwalił, że ma z niego wielką pomoc w gospodarstwie.

W ten wydarzył się Frankowi nieszczęśliwy przypadek — zakochał się.

Była we wsi cudna dziewczyna, córka gospodarska, imieniem Weronika; a że była bogatą, wielu młodzieńców starało się o jej rękę. Ona jednak wszystkich

odrzucała. Ile razy przechodziła koło okien Franka, serce mu waliło jak młotem z miłości i — ze strachu! Jak się zbliżyć do ukochanego dziewczęcia?

W niedzielę niedzielą wychodził na drogę i przed dom jej, żeby do niej zagadać, lecz gdy ją spotkał sama, głos mu w gardle zamierał — nie śmiał się odezwać. Tylko błagalnym wzrokiem powiadał jej, że ją kocha.

Dziewczyna czuła to bardzo dobrze. To też ukradkiem do niego się uśmiechała, bo chłopak był galantny i urodziwy i dobrą sławę we wsi posiadał; jednak nie wypadało jej, jako porządnie wychowanej pannie, naprzód do niego przemówić.

Wiedział Franek, że uwielbiana jego serca należała do chóru kościelnego, i wieczorem miała czasem lekcje śpiewu z innymi dziewczętami, i że następnie sama wracała do domu. Raz postanowił korzystać z okazji i odprowadzić ją do domu.

Czekał więc na nią na drodze pod drzewem, a gdy przechodziła, zagadnął:

— Weronika!  
— Czego chcesz odemnie? — zapytała energicznie dziewczyna.

— Weronika... — powtórzył błagalnym głosem, czując, że twarz jego stawała się czerwoną jak burak.

— No, mówże śmiało! — zachęcała go mile.

— Jabyim chciał... jabyim sobie życzył... — tu mu się urwało — nie umiał mówić dalej.

— A czego ty chcesz odemnie? — badała zdziwiona.

— Ja... jabyim chciał... iść do domu... — wykrztusił Franek zalekniony.

— To idźże sobie! — odrzekła energicznie, — ja ci nie przeszkadzam.

— Ale... jabyim chciał... to jest niby, jabyim sobie życzył iść z tobą do domu... — i przestraszony tem, co wypowiedział, obrócił się i poszedł, zostawiając śmiejącą się dziewczynę.

Pierwsza próba wypowiedzenia swojej głębokiej miłości nie udała się Frankowi. Nie zwierzył się nikomu ze swojego bólu sercowego, ani też nikogo o pośrednictwo nie prosił; do tego był zanadto nieśmiały. Coż było począć? — trzeba było czekać innej sposobności.

Rok upłynął. Ojciec Franka umarł i pozostawił mu małe gospodarstwo bez długu. Franek pragnął się ożenić, a żoną jego mogła być tylko panna Weronika. Przypadek chciał, że spotkał ją samą w ogrodzie.

Pochwaliwszy Pana Boga i przeżegnawszy się pod ukradkiem, żeby mu jakoś łatwiej było się oświadczyć, i żeby mieć więcej odwagi, próbował zacząć rozmowę.

— Przyjemny dzień dzisiejszy, — rzekł, trzymając rękę na sercu, żeby mu czasem z miłości i ze strachu nie pękło.

No — i ty niegodziwcu, oddałeś tylko dwa zajęcia? Tak, proszę wielmożnego pana dwa zajęcia! To jednego, hukaj, niezawodnie zjadłeś po drodze? Ehe he he he! — zaśmiał się głupkowato Orzesio — to wielmożny pan baron jednak nie taki głupi, jak pan radca, bo on tego zgadnąć nie mógł!

### Moja baba nawet diabła się nie boi!

Było to w wieczór sylwestrowy. Kółko „wesolych” składało się z pięciu ludzi. Wśród nich prawdziwie polskim wasem wyróżniał się pan Kilecki, który już przed godziną rozdał przygodnym towarzyszom zabawy, swoje bilety wizytowe. Widniały na nich jak byk:

MACIEJ KILECKI,

mistrz kunsztu szewckiego z Warszawy, buty na zamówienie a zelówki po 70 kopiejek.

Najgłośniejszym za to z tego niewielkiego grona był Dymitr Dymitriusz, który co chwilę miał na ustach: „Urodziłem się w Petersburgu, tam, gdzie sam car-batuszka mieszka, więc znam się na ludziach i na święcie! Mówiono o wróżbach „wróżbach”, czarownicach, wilkołakach, duchach itd.

Dymitr Dymitriusz, polknawszy jednym haustem kielich „oczyszczeni”, zaświecił białkami oczu i krzyknął: „Urodziłem się w Petersburgu, znam świat i ludzi i powtarzam i mówię, że nawet sam car-batuszka duchów się nie boi!”

Po tych słowach 6 stopowy i 289 funtów ważący pan Dymitriusz powiódł straszonym wzrokiem po obecnych, jakby chciał zapytać:

— Czy jeszcze kto z was nie wierzy?

Tytu przerażonych historji o duchach, guszach, czarach itd. opowiadano tego wieczora, że nikt z obecnych nie śmiał się odezwać, ani też przeczyć Moskalowi.

Wszyscy, biorąc szklanki do ręki, zdawali się milczeniem przyznawać słuszność p. Dymitriuszowi, gdy nagle pan Maciej Kilecki gruchnął pięścią o stół i podkreślając sumiastego wasa, huknął:

— Słuchałem tych wszystkich głupstw i baśni przez całą godzinę, ale to wam powiem, że ja jestem Polakiem-katolikiem i w żadne takie bzdurstwa nie wierzę! A jeszcze i to dodam, że nawet moja żona, albo jak zwykle gadam: „moja baba” nietylko ducha, ale nawet samego diabła się nie boi!

6 stopowy i 289 funtów ważący Dymitr Dymitriusz po prostu skamieniał na chwilę, a potem... wyjął z kieszeni 20 rublówkę, i kładąc ją na stole, rzekł:

— Zakładam się o 20 rubli, że ja sam zaraz tak wystraszę pańską żonę, że z domu ucieknie i jeszcze tutaj przybiegnie — jak szalona — błagać o pomoc i ratunek.

Pan Maciej Kilecki rzekł krótko:

— Zakład przyjmuję.

Po tych słowach wyjął 20 rubli i rzucając je na stół, dodał:

— Akurat północ, godzina duchów, więc strasz panie... diable! Mieszkam naprzeciwko na drugiem piętrze i właśnie zauważyłem, że światło w oknie zgasło.

Zanim pan Kilecki skończył mówić, Dymitr Dymitriusz, który ongiś próbował być aktorem i był zawsze gotów do różnych sztuczek, zmienił się w jedną chwilkę.

Nie upłynęło nawet 2 minut, kiedy przed zdumionymi towarzyszami zabawy stanął już nie Moskał Dymitr Dymitriusz, ale (z pozoru) prawdziwy... diabeł. Iście szatańską maskę miał na twarzy, rogi na głowie i płaszcz czerwony a w ustach straszny, plekielny ogień.

— Morowol! — krzyknął pan Kilecki, a potem uśmiechając się pod wasem, dodał:

— Gospodarzu, daj nam co tutaj zaraz na ten Nowy Rok!

Pan Kilecki, spojrzawszy na Dymitriusza, zrobił ukradkiem znak krzyża św. i szepnął:

— Ja sam uciekłbym za dziesiątą górą, gdybym takiego morowego diabła ujrzał o północy a cóż dopiero kobieta!... Przegrałeś panie Macieju.

— Nie! — rzekł z zupełną pewnością pan Kilecki, gdy Dymitr Dymitriusz wyszedł.

— Dlaczego?  
— Bo moja baba będzie myślała, że to ja teraz po północy wracam do domu!...

W tej chwili rozległ się taki loskot, jakby 10 ton węgla spadały z drugiego piętra, a potem, gwizdająca policzka, a potem wleśono do szynku „diabła” pana Dymitriusza, z podbitym okiem, rozbitą głową i zlamaną nogą.

Pan Kilecki nie okazał dla Moskala najmniejszych sympatii, powiedział tylko:

— Teraz się przekonałeś, że moja baba nawet diabła się nie boi!

Po tych słowach zgarnął ze stołu 40 rubli i nie spojrzawszy nawet na oglupiałego Moskala, powiedział innym towarzyszom zabawy sylwestrowej:

— Szczęśliwego Nowego Roku!

Pan Maciej Kilecki, wesoly i szczęśliwy w tym Nowym Roku niósł do domu cukierki i owoce za przeszło 7 rubli i powtarzał radośnie i dumnie:

— Moja baba nawet diabła się nie boi!

### — DOWCIPY I ŻARTY. —

Tak, jak u siebie w domu.

Jeden chłop przyszedł do kawiarni, siadł za stołem, wydobyl fajkę, zapalił sobie, a potem pluje na podłogę.

Kelner widząc to, przyniósł mu spliwaczkę. Chłop zaś pluje na drugą stronę. Kelner myśląc, że ją na tej stronie chce mieć, więc mu ją posuwa. Wtedy się chłop odezwał: „Bierzcie sobie ten talerz precz, bo wam jeszcze nań napluje i tela...”

Zachęta.

Pan Dawid Procent jest agentem Towarzystwa ubezpieczeń od wypadków i w ten sposób werbuje nowego klienta:

— Niech sze pan u mnie zabezpiecza od wypadku, bo to zloty interes. Niech pan sobie naprzykład złamie rękę, to pan zaraz dostaje pięć tysięcy, a złamie pan nogę, to zaraz pan dostaje dziesięć tysięcy, a złamie pan kark, ręce i nogi, to pan jest panem całą gębą...

Niezwykła moneta.

— Byłeś Janie, po odbiór tych pieniędzy.  
— Byłem.  
— Dostałeś?  
— Dostałem.  
— No, przecież choć przed świętami sumienie go ruszyło... No, dawaj!  
— Kiedy nie śmiem...  
— A co dostał?  
— Dwa razy w gębę i raz w kark.

Traina odpowiedź.

R a b i n: Ny, dlaczego na dachu stawiają na samym czubku koguta, nie kurę?

Z y d e k: Bo jakby kura na dachu jako złościa, to by się rozbiło.